

**Bartłomiej Kolipiński**

## **O KRYZYSIE PLANOWANIA PRZESTRZENNEGO SŁÓW KILKA**

Niedawno na wiacie przystankowej zauważyłem reklamę z zastanawiającym napisem: „Czy jest jeszcze coś, co nas łączy”. Nie miałem czasu sprawdzić, o co w niej chodziło, bo śpieszyłem się na dyskusję o projekcie specustawy mieszkaniowej. Po spotkaniu, w którym uczestniczyli deweloperzy, urbaniści i architekci, „zuchy miejskie”, prawnicy i ekonomiści – znałem odpowiedź na to reklamowe zapytanie: tym czymś jest planowanie urbanistyczne. Wszystkich połączyła zgoda co do tego, że ma się ono źle, a będzie jeszcze gorzej.

Teza o kryzysie planowania przestrzennego i jego skutkach jest powtarzana od lat. Jak wielu? To zależy. W przypadku młodszego pokolenia – od momentu pojawienia się internetu, który jest dla nich cezurą wszelkiej wiedzy o przeszłości; my starsi mówimy o tym od zawsze, tylko czasem o tym zapominamy, np. kiedy głosimy hasło o przywróceniu ładu przestrzennego. A gdzież on i kiedy był? Chyba tylko w naszych marzeniach albo wspomnieniach z zagranicznych podróży.

*À propos* ładu przestrzennego. Rozmowy o nim bardzo utrudniają niepoohamowane ciągoty do jego definiowania. Uległ im także ustawodawca. Idę o zakład, że ustawowej, dwudziestoczcterosłownej definicji ładu przestrzennego nikt nie jest w stanie zapamiętać, a więc jakby jej nie było. Dlatego proponuję definicję krótszą, dużo krótszą, do której mam pewne (dziedziczone) prawa autorskie. Otóż, ład to różnorodność uporządkowana. Tyle i tylko tyle! I dlatego w środowisku naukowym definicja ta przyjąć się nie może. Za krótka! Ale tu, w felietonie, czemu nie. Zwłaszcza że dobrze oddaje to, co chcę powiedzieć. Otóż, w Polsce ład przestrzenny mamy, tyle że niepełny, rzec można – połowiczny: w PRL mieliśmy uporządkowaną

jednorodność (model koszarowy), teraz mamy nieuporządkowaną różnorodność (model Las Vegas).

Powszechna zgoda, że mamy kryzys planowania przestrzennego, który obejmuje też jego symptomy. Rozrzucone wśród pól i pozbawione infrastruktury osiedla podmiejskie, drogi w miastach przegrodzone szlabanami, nowobogackie wille w sąsiedztwie ruder, kakofonię reklamową – to wszystko widać i czuć. O tym się pisze i mówi. Sporządza raporty i memoriały. Rozmawia na spotkaniach towarzyskich. Szacuje skalę niekontrolowanej urbanizacji i liczy tego koszty. Wszystko wiadomo. Z wyjątkiem jednego – co jest tego przyczyną. Jak to się stało, że spokojna, uporządkowana, a nawet nierzadko nudna przestrzeń stała się, używając literackiej metafory, krzykliwa a nawet wrzaskliwa.

W ostatnim czasie pojawiło się kilka prac próbujących to wyjaśnić w sposób naukowy. W „Studiach Politycznych” (2017) Krzysztof Niedziałkowski zinterpretował kryzys planowania przestrzennego w Polsce przez pryzmat „nowego instytucjonalizmu”, czyli nurtu badań społecznych, zgłębiającego racjonalność zachowywania się instytucji. Publikacja ta może nas urbanistów napawać szczególnym rodzajem dumy. Po pierwsze, już sam fakt, że o „naszym” kryzysie pisze się w takim periodyku świadczy o jego naukowej nobilitacji. Po drugie, jak dowiódł autor (w czym, pochwalę się, trochę mu pomogłem), polityka przestrzenna w Polsce w procesie transformacji uległa nieznanemu we współczesnym świecie zjawisku, a mianowicie całkowitej deinstytucjonalizacji; wyzwoliła się spod kryterium jakiegokolwiek racjonalności i legitymizacji. Można więc rzec – przechodząc płynnie do drugiej pracy, o której chcę słów kilka powiedzieć – że polityka przestrzenna w Polsce stała się postracjonalna i płynnie ponowoczesna, cokolwiek to znaczy.

Z tą drugą pracą mam trochę większy kłopot. Chodzi o to, że książka Joanny Kusiak *Chaos Warszawa – porządki przestrzenne polskiego kapitalizmu* (bo o niej tu mowa) jest tłumaczeniem jej doktoratu obronionego na Politechnice w Darmstadt, i jak na doktorat przystało, jest mocno podbudowana teoretycznie i metodologicznie. Tych podbudów jest tak wiele, że można się pogubić, zwłaszcza że wszystkie one mają (chyba?) jedną podbudowę ogólną: postmodernizm.

Z postmodernizmem od samego początku miałem trudności natury poznawczej. Pomógł mi z tym problemem żyć esej Agnieszki Kołakowskiej *Czy możliwa jest religia postmodernistyczna* („Teologia Polityczna”, 2015), po którym definitywnie zrozumiałem, że nie będzie mi dane pojąć, co to jest ten postmodernizm. Dlatego czytelnikom książki Joanny Kusiak niebędą-

cych wyznawcami ponowoczesności proponuję darować sobie zgłębianie tych wszystkich „suwerennych znaczących”, które są zarazem „znaczącymi pustymi”; tych „słów kluczy i wytrychów”, „mapowań poznawczych”, „metodologicznych furtek” i „narracji o funkcjach maskujących wobec hybrydowych porządków”. Namawiam natomiast, żeby skupić się na tym, co w tej książce najważniejsze i najcenniejsze – atrakcyjnej opowieści o patologii urbanizacji na przykładzie Białołęki i o reprivatyzacji nieruchomości w Warszawie. Opowieści, która skłania do refleksji i dyskusji, chociażby poprzez postawienie tezy, że chaos przestrzenny jest najlepiej zaprogramowanym elementem transformacji politycznej po 1989 roku i że stało się tak za sprawą globalnego kapitalizmu. Tezy, trzeba powiedzieć, bardzo odważnej, tym bardziej, że można się liczyć z jej poparciem przez wszelkiej maści populistyczne media.

Trzecią pracą, którą chcę tu przywołać, jest pierwsza część powstającego raportu KPZK PAN pod wspólnym tytułem *Studia nad chaosem przestrzennym*. Autorzy, Adam Kowalewski i Maciej Nowak, w sposób bardzo erudycyjny i udokumentowany ukazują prawne uwarunkowania planowania i zagospodarowania przestrzennego i jednocześnie stawiają tezę, że przyczyną chaosu przestrzennego w Polsce jest złe prawo. Muszę powiedzieć, że ta diagnoza jest nieco zbyt ogólna, a nawet może trochę tautologiczna. W demokratycznym państwie prawnym wszystko bowiem, co się dzieje – dobrze i źle – w sferze publicznej jest wynikiem prawa. Ta reguła bywa jednak nadinterpretowana w ten sposób, że prawo czyni się odpowiedzialnym za źle pomyślane rozwiązania instytucjonalne i systemowe. Może pozwalam sobie za dużo, ale dopowiem: jak najbardziej prawny termin *ratio legis* nie może być, co do jego treści, domeną prawa. Kryzys planowania przestrzennego w Polsce, jak trafnie zauważył Janusz Sepioł, jest spowodowany brakiem koncepcji jego funkcjonowania w wymiarze aksjologicznym i prakseologicznym. Złe prawo jest tego pochodną, a nie przyczyną. Ale to temat na inną okazję.

Praca Kowalewskiego i Nowaka dzięki tabelce z wykazem wszystkich kilkunastu ministrów „właściwych”, którzy reformowali planowanie po roku 1990, stanowiącej ilustrację tezy, że żadnemu z nich to się nie udało, pozwoliła mi wpaść na trop, jak myślę, ciekawej hipotezy wyjaśniającej kryzys planowania przestrzennego w Polsce. Wielu z nich znałem osobiście, a nawet niektórym doradzałem. Zacząłem się więc zastanawiać, co łączyło tych eksponentów wszystkich opcji politycznych rządzących w Polsce przez ostatnie blisko 30 lat. I w wyniku pobudzonej pamięci doszedłem do wniosku, że tym wspólnym mianownikiem ich myślenia o planowaniu

przestrzennym i podejmowanych przez nich inicjatyw legislacyjnych była chęć ułatwienia inwestowania i pozyskiwania terenów budowlanych. I zacząłem zadawać sobie nieco filozoficzne pytania: Czy można tworzyć prawo w celu ułatwienia? Kto i gdzie powiedział, że ma być łatwiej? Czy coś, co jest łatwe, może być piękne? Zacząłem szukać odpowiedzi. Przewertowałem kupione w przecenie dzieło Monteskiusza *O duchu praw* – nie znalazłem. W Wikipedii pod hasłem „filozofia prawa” nic nie ma o ułatwianiu. Odwołałem się więc do mądrości ludowej: w powiedzeniu „miło, łatwo i przyjemnie” ewidentnie nie ma miejsca na „pięknie”.

Może więc czas zacząć w planowaniu przestrzennym utrudniać!

Warszawa, 2 lipca 2018 roku